

Michel Husson

Czy jest nas za dużo?

Studenckie Koło Filozofii Marksistowskiej (Uniwersytet Warszawski)
WARSZAWA 2007

„Czy jest nas za dużo?” („Sommes-nous trop?”) to tytuł i temat przewodni rozmowy, jaką odbyła z Michélem Hussonem, ekonomistą i autorem książki „Sześć miliardów na planecie: czy jest nas za dużo?” („Six milliards sur la planète: sommes-nous trop?”, wyd. Textuel, Paryż 2000), Marianne Pinguet. Wywiad ukazał się w czasopiśmie *Rouge*, nr 1901 z dnia 7 grudnia 2000 r.

Podstawa niniejszego wydania: „Nowy Tygodnik Popularny” z 25 lutego 2001 r.

Tłumaczenie z języka francuskiego: Zbigniew Marcin Kowalewski.

A więc czy jest nas za dużo?

Czy przeludnienie świata jest jeśli nie przyczyną problemów ekologicznych, to przynajmniej poważną przeszkodą w ich rozwiązaniu? Odpowiem na to zadając inne pytanie. Załóżmy, że to prawda. Co w takim razie powinniśmy zrobić? Doprowadzić do powolniejszego przyrostu ludności, a nawet do spadku liczby ludności? Przecież to niemożliwe bez zastosowania barbarzyńskich metod (wywoływania epidemii, dokonywania ludobójstw, przymusowych sterylizacji, eugeniki itp.).

Już obecnie ludność świata przyrasta wolniej, ponieważ obserwuje się powszechny spadek rozrodczości. Np. w krajach Maghrebu przypadająca średnio na jedną kobietę liczba dzieci spadła z 5-7 w 1980 r. do 2,2. Trudno byłoby o jeszcze większy spadek! Za dwie, trzy dekady spowolnienie przyrostu naturalnego sprawi, że liczba ludności zacznie się stabilizować. Dziś kobieta ma przeciętnie mniej dzieci, ale proporcja kobiet w wieku prokreacyjnym jest nadal bardzo wysoka. Prawdopodobny scenariusz jest taki: w połowie stulecia liczba ludności świata wzrośnie z 6 do 9 miliardów, a następnie się ustabilizuje lub wręcz zacznie się zmniejszać.

Co proponują zwolennicy teorii o groźbie przeludnienia?

Najbardziej reakcyjni, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, mówią, że nasza planeta może pomieścić jedynie 2 lub 3 miliardy mieszkańców, ale nie mówią, jak zmniejszyć liczbę ludności o połowę. W swojej ostatniej książce pt. *Raport z Lugano* Susan George zadaje to pytanie i wyobraża sobie siłą rzeczy cyniczne i barbarzyńskie odpowiedzi, udzielane przez konsekwentnie wyznających tego rodzaju poglądy reakcyjnych technokratów. Nie posuwając się aż tak daleko należy stwierdzić, że dyskurs o przeludnieniu jest w domyśle dyskryminacyjny w stosunku do tych, którym rodzi się dużo dzieci.

Jedyna humanistyczna – a nie polegająca na eugenicie społeczno-etnicznej – metoda ustabilizowania na dłuższą metę liczby ludności polega na upowszechnianiu postępu społeczno-gospodarczego, w tym na stabilizowaniu dochodów tradycyjnego rolnictwa czy sprzyjaniu edukacji i niezależności materialnej kobiet. Taka ewolucja socjologiczna, jak późniejsze zawieranie małżeństw, jest np. jednym z decydujących czynników spadku rozrodczości. Z drugiej strony widać, że jedyne kraje, w których nie zachodzi tego rodzaju proces, to kraje najuboższe. Należy więc odwrócić perspektywę i przyjąć logikę gościnności, czyli zastanowić się, jak najlepiej ugościć dodatkową – dającą się racjonalnie przewidzieć – ludność.

Czy ten przyrost ludności jest do zniesienia z ekologicznego punktu widzenia?

To oczywiście wielki problem. Weźmy np. efekt cieplarniany. Ogólna ilość emitowanego dwutlenku węgla jest wytworem trzech elementów: liczby ludności zamieszkującej planetę, produkcji na głowę ludności i ilości energii powodującej zanieczyszczenie środowiska na jednostkę produkcji. Jeśli przyrostu ludności nie będzie kompensowała bardziej energooszczędna produkcja, jest bardzo prawdopodobne, że emisja dwutlenku węgla nieodwracalnie przekroczy próg, za którym dojdzie do zachwiania równowagi ekologicznej, a ono pociągnie za sobą zniknięcie dużej części ludności.

Istnieje takie realne zagrożenie, które lekceważy się z pomocą argumentów scjentystycznych – twierdzenia, że postępy techniki rozwiążą wszelkie problemy. Moje podejście polega na rozpoznaniu ścieżki pozwalającej towarzyszyć wzrostowi demograficznemu nie doprowadzając do sytuacji, w której wszystko się zawali. Chodzi więc o ustalenie, na czym polegają prawdziwe problemy na tym polu. Powinno być np. oczywiste, że nie nastąpił nawrót do klasycznego maltuzjanizmu, w którym przyrost ludności jest ograniczany przez dostępność żywności. Istnieje groźba, że ziemia wyjałowuje, ogromny

jest też problem dotyczący wody, ale jest to raczej kwestia dystrybucji, a nie absolutnej, nieprzekraczalnej granicy.

A energia?

Jeśli przyjmiemy, że nie można igrzać z liczbą ludności, to w takim razie należy zwolnić lub obniżyć tempo spożycia energii na głowę ludności. Myślę jednak, że to, co można pod tym względem osiągnąć, jest stosunkowo ograniczone, ponieważ rozwój wymaga wzrostu materialnego – nie buduje się szkół, dróg, wodociągów nie wydając energii. Można by domagać się od krajów bogatych bardziej wstrzemięźliwego pod względem konsumpcji modelu wzrostu, ale takie rozwiązanie nie koniecznie stoi na wysokości zadania.

Jeśli przyjrzymy się prognozom spożycia energii w ciągu najbliższych 50 lat, to okaże się, że globalny wzrost spożycia energii nastąpi w krajach Południa, a ewentualne oszczędności, jakie można by uzyskać na Północy, nie bardzo się liczą. Uważam, że w tych warunkach jedyna racjonalna perspektywa polega na przyjęciu i wdrożeniu programu masowego transferu z Północy na Południe nie zanieczyszczających zbytnio środowiska technik produkcji energii. Przykład Chin, w których wzrost w ciągu dwóch minionych dziesięcioleci był przecież bardzo szybki, wskazuje, że istnieje szeroki margines manewru – oczywiście, spożycie energii wzrosło tam, ale w dużo mniejszym stopniu niż produkt krajowy.

Zakłada to pewną formę kooperacji, a nawet – miejmy odwagę to powiedzieć – planowania na skalę planetarną. Jest to oczywiście zupełnie przeciwstawne koncepcjom neoliberalnym, ale moim zdaniem to jedyna metoda pozwalająca uniknąć przystosowań regresywnych – np. blokady wzrostu gospodarczego krajów Południa w imię ochrony środowiska czy niekontrolowanego wykorzystania takich bardzo zanieczyszczających środowisko, ale dość tanich źródeł energii, jak węgiel.

Czy to znaczy, że wydawanie zezwoleń na zanieczyszczanie środowiska lub wprowadzanie podatków ekologicznych nie ma sensu?

Należy podejść do takich rozwiązań pod kątem podstawowego problemu teoretycznego, który dobrze wyraża świetne hasło głoszące, że „świat nie jest towarem”. Dotyka ono istoty sprawy, ponieważ najgłębsza logika panującej gospodarki polega właśnie na pokładaniu ślepego zaufania w mechanizmach rynkowych. Cechą szczególną kwestii ochrony środowiska jest to, że wyrzucanie odpadów czy wyczerpywanie zasobów naturalnych nic nie kosztuje prywatnego operatora. Jak mówią ekonomiści – zakłada się, że koszt ponosi ktoś inny, że przenosi go się na zewnątrz przedsiębiorstwa.

Zgodnie ze wspomnianą logiką wydaje się oczywiste, jak z tego wyjść. Po prostu należy ustalić cenę na to, co jeszcze jej nie ma, wprowadzić mechanizm rynkowy tam, gdzie on jeszcze nie działał. Na tym polega podatek ekologiczny czy rynek praw do zanieczyszczania środowiska – jest to szczególnie absurdalne rozwiązanie, ponieważ pozwoli krajom bogatym wykupywać od krajów ubogich prawa do zanieczyszczania i czynić wręcz odwrotnie niż należy – a jak powiedziałem, krajom ubogim należy zapewnić środki rozwoju nie powodujące zbytnich zanieczyszczeń. Redystrybucja powinna więc dokonywać się na odwrót. To, że tego rodzaju propozycje, o jakich była mowa, przejmują niektórzy ekolodzy, stawia ogromny problem, jakim jest istnienie lub nie paradygmatu ekologicznego.

O co chodzi?

O to, czy kwestia ekologiczna zmienia lub nie sposób stawiania kwestii społecznych. Mój punkt widzenia jest następujący: jeśli chodzi jedynie o jakość życia, o estetykę życia miejskiego itp., to ekologia jako taka nie istnieje. To tylko jedna z wielu aspiracji, która z natury nie różni się zbytnio lub wcale od

np. woli walki o godziwe warunki pracy. Jeśli natomiast ekologia wprowadza jakiś dodatkowy wymiar, to w takiej mierze, w jakiej ujawnia, że pod znakiem zapytania stoi sama możliwość życia na Ziemi.

Uważam, że tak jest, a więc – że istnieje paradygmat ekologiczny, tzn. pewien rodzaj problemów, które trzeba rozwiązać, zagrożeń, którym należy zażegnać i które różnią się pod względem swojej natury i doniosłości od innych kwestii społecznych – takich np., jak urbanistyka. Jeśli tak, to w takim razie należy być konsekwentnym – jeśli istnieje taka specyfika kwestii ekologicznej, to jej rozwiązanie wymaga innych środków niż kreowanie pseudorynków.

Podatek ekologiczny nie jest, rzecz jasna, złem absolutnym; nawet rynki zezwoleń na zanieczyszczanie środowiska mogą być uzasadnione, ale tylko w pewnych bardzo szczególnych dziedzinach. Niezłe zadziałały w przypadku halogenków węgla odpowiedzialnych za dziurę ozonową – ich emisję udało się zredukować o 70%. W tym przypadku istnienie rentownych substytutów bardzo pomogło. Gdy jednak chodzi o takie sprawy, jak efekt cieplarniany, to wydaje mi się, że dziś nie można być konsekwentnym ekologiem bez dużej dozy nastawienia antykapitalistycznego.

A więc wszystko załatwi socjalizm?

Nie chodzi o to, aby twierdzić, że absolutnym warunkiem wstępnym prowadzenia jakiegokolwiek polityki ekologicznej jest socjalizm. Chodzi raczej o unikanie realizmu, jakiemu hołdują uczestniczące w sprawowaniu władzy partie Zielonych – polega on na proponowaniu marginesowych i absolutnie nieskutecznych regulacji ekologicznych kapitalizmu. Stawianie sprawy w taki sposób, jakby polityką alternatywną było ściąganie paru franków podatku od litra oleju napędowego, to rezygnacja z ekologii.

Należy natomiast uprzywilejować to wszystko, co oznacza kontrolę nad działaniami kapitału – wydawanie norm i zakazów, nakładanie kar. Takie zresztą rozwiązania bierze się coraz częściej pod uwagę. W przypadku katastrofy ekologicznej spowodowanej przez tankowiec „Erika” logicznym rozwiązaniem jest zaostrenie przepisów, a nie wprowadzenie podatku ekologicznego!

Jeśli chodzi np. o cenę ropy naftowej, to jej niedawna podwyżka zmiotła z powierzchni ziemi wszystko, co w tej dziedzinie udało się uzyskać Zielonym. Dlaczego? Dlatego, że nie zarysowali konkretnie żadnej alternatywnej polityki transportu. Nie mogli więc pochwalić się czymkolwiek, co uzasadniałoby podwyżkę ceny ropy.

Antykapitalizm, o którym tu mowa, jak skromny, ale twardy – chodzi o to, aby przypuścić atak na postulat totalnej swobody działania kapitału. Wymaga to interwencji publicznej, dotowania programów alternatywnych – a więc tego wszystkiego, czym tak bardzo brzydzi się radykalny kapitalizm końca stulecia. Tak pojmowana walka ekologiczna może zarazem przyczynić się do odrodzenia projektu socjalistycznego, który – rzecz jasna – nie może istnieć niezależnie od aspiracji i mobilizacji szerokich środowisk społecznych.